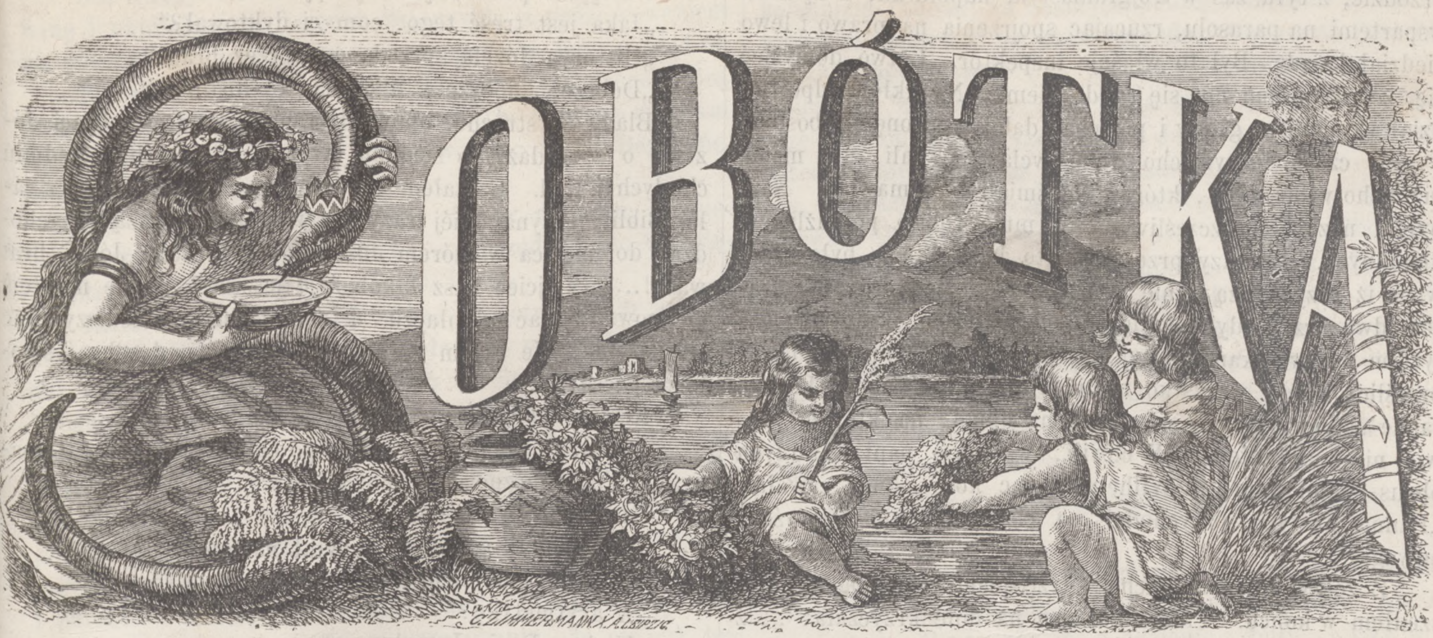
Nr. 43. Poznań, dnia 21. Października 1871. Rok III.



TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1½ ark. Kwartalnie 15 sgr.; w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

HISTORYA
NAUCZYCIELA SZKÓŁKI WIEJSKIÉJ

przez

Erckmann-Chatrian.

(Tłomaczenie z francuzkiego.)

(Ciąg dalszy.)

Pan Wilhelm z reumatyzmem rozpoczął chodzić do szkoły; uderzenia trzcinki jak grad spadały, nie mieliśmy litości ani nad sobą, ani nad uczniami, a krzyki rozpaczliwe od rana do wieczora całą salę napełniały. Ileż razy wyrzucałem sobie tę nieludzkość względem dzieci! Nakoniec nadeszła Wielkanoc, a z nią pierwsza komunia starszych dzieci, która jest epoką dla nich opuszczenia szkoły. Musiały też one być bardzo szczęśliwemi, wydobywając się ze szpon p. Wilhelma i moich.

Nagle rozchodzi się wieść, że inspektor szkolny jest w drodze i że zwraca się ku Lotaryngii przez Blamont; powtarzano przytém, że po dwunastu na raz pomocników nauczycieli odprawia, nie mając względu ani na ich smutne położenie, ani na obowiązek służby wojskowéj.

Wszyscy pomocnicy, a nawet nauczyciele trzeciego stopnia, którzy tylko warunkowo przyjęci byli, słysząc o rygorze p. Mougeot inspektora, w zupełne wpadli zwątpienie. Przypominam, że jeden pomocnik przechodząc przez wieś naszą, opowiadał, iż za jedną omyłkę w imiesłowie odprawiony został. Włosy ze strachu stawały mi na głowie.

Pan Wilhelm mówił: „Przedewszystkiem nie bój się; wszyscy pomocnicy są osły; najmądrzejszy nie umie dodać do siebie dwóch ułamków. Ty umiesz dziesięć razy więcéj niż oni wszyscy, ale trzeba mieć odwagę; jeżeli się boisz toś przepadł. Mówiłem już ci sto razy, że głównym jest nie arytmetyka, ani gramatyka, ale katechizm i historya święta.“

Inspektor ku naszéj szkole zbliżał się i nakoniec dowiedzieliśmy się, iż nazajutrz będzie u nas. Przez całą noc oka nie mogłem zmróżyć. Było to ku końcowi Czerwca; co godzina zrywałem się z łóżka, otwierałem małe okienko i przy świetle księżyca w patrywałem się w łąki i pola, nie widząc nic. Dumając tak mówiłem do siebie: Ach! żeby to już mógł być wieczór dnia jutrzejszego. Oby Bóg chciał mi dopomódz! I następnie kładłem się znowu i znowu wstawałem, zapalałem lampę, chciałem czytać i poduczyć się jeszcze czegoś, lecz wszystko to jeszcze więcéj odurzało umysł.

I tak w gorączce minęła ta noc ostatnia. Z rana ubrałem się w czystą koszulę i nowe odzienie. Przy śniadaniu nic nie jadłem. Pani Katarzyna mówiła: Ach! jeżeliby ten inspektor wstrzymał się jeszcze z przyjazdem dni ośm, to Jan Baptysta, poruszyć się niemiałby siły! „Cicho bądź“, krzyknął p. Wilhelm, „daj mu pokój.“

Następnie poszliśmy do szkoły i w téj właśnie chwili powóz szybkim kłusem przez ulicę przejechał. Woźnica na

przodzie, z tyłu zaś w trójgraniastym kapeluszu, z rękoma wspartemi na parasolu, rzucając spojrzenia na prawo i lewo siedział ksiądz. Był to właśnie inspektor. Łatwo domyśleć się, że ukłoniłem mu się aż do ziemi. Na ukłon odpowiedział skinieniem głowy i pojechał daléj w stronę probostwa.

W czasie lekcyi, chodziłem wciąż po sali, nie mając już ochoty bić tych, którzy się śmiali i rozmawiali. Sam byłem nazbyt nieszczęśliwy i to mnie robiło pobłażliwym dla innych. Ile razy przeszedł kto koło okna, byłem pewien iż przychodzą mnie wezwać do inspektora. Napisałem dwa przykłady z kaligrafii charekterem okrągłym, gotyckim i odwrotkami, przykłady które p. Wilhelm znajdował prześlicznie, ale wszystko to niedawało mi pewności. Lekcye ranne skończyły się i poszliśmy na obiad, na którym prawie nic nie jadłem. W chwili, w któréj pani Katarzyna obrus zdejmowała, p. Wilhelm stojąc koło okna, zawołał: „Panna Justyna przychodzi po ciebie. Janie Baptyście, odwagi!“

Z zeszytem pod pachą i trzęsącemi się nogami wyszedłem w końcu. Panna Justyna na dole krzyczała: „Idź pan prędzéj, w plebanii czekają na pana.“

Szedłem raczéj marty niż żywy. Byłbym w wielkim ambarasie, gdybym musiał opowiedzieć to, co się działo zemną podczas drogi. Niewidziałem nic przed sobą, gdy nagle stanąłem na schodach probostwa. Zatrzymałem się dla nabrania sił i oddechu. Z wewnątrz dochodziło mnie echo wesołego śmiechu. Zapukałem do drzwi i po chwili ktoś odpowiedział: „proszę wejść!“

Otworzyłem drzwi i ujrzałem pana Inspektora, proboszcza z Voyer i naszego, zapijających kawę. Nasz proboszcz spostrzegłszy mnie zawołał: „To pomocnik nauczyciela!“

„Wejdź“, rzekł Inspektor, „wejdź i zamknij drzwi za sobą.“

Wszedłem

„Napisałeś dwa przykłady?“ spytał.

„Tak Panie Inspektorze.“

„Pokaż.“

Podałem mu zeszyta, które zwolna przeglądał, a ja pod czas tego drżałem jak liść.

„Czyś to sam pisał?“

„Tak Panie Inspektorze.“

Po chwili oddał zeszyt innym, którzy w milczeniu kartki przewracali; a sam przytykając usta do filiżanki rzekł:

„Siądź przy tém biurku.“

I wskazał ręką biurko księdza Bernarda, na którem leżał papier, pióro i atrament.

„Pisz!“

I następnie zaczął głośno dyktować historyę Józefa sprzedanego, zaglądając przez ramię na pismo. W oczach mi się ćmiło, jednakże napisałem dobrze. Po ukończeniu kilku linii wziął dyktando i porównał je z przykładami poprzednio przyniesionemi.

„Pismo się nie różni“, rzekł, „zobaczymy jaka ortografia!“

Czytał po razy dwa i w końcu oświadczył:

„Nie źle, nie źle, nie ma wielkich błędów.“

Następnie podnosząc oczy spytał:

„Jaka jest treść tego, com ci dyktował?“

„Historya Józefa sprzedanego przez braci.“

„Dobrze... dobrze... opowiedz tę historyę.“

Blady ze strachu, opowiedziałem o zazdrości braci Józefa, o sprzedaży, o siedmiu krowach tłustych i siedmiu chudych i t. d. Czytałem tę historyę, najpiękniejszą z całéj Biblii, przynajmniéj razy sto i za każdą razą przychodząc do miejsca w którem Józef woła: „Jestem Józef, brat wasz!... czy ojciec nasz Jakób żyje jeszcze?...“ nie mógłem się powstrzymać od płaczu. I tym razem przeszedłszy silne wzruszenia, nie byłem wstanie zapanować nad sobą i szlochać począłem.

Księża spojrzeli zdziwieni.

„Dobrze... dobrze...“ rzekł po chwili Inspektor. „Oznacza to dobre uczucia. Uspokój się.“

Głos jego był łagodny.

„Czy umiesz solfegia?“ spytał następnie.

Trochę, Panie Inspektorze.“

„A arytmetykę?“

„Umiem Panie Inspektorze.“

„Wytłumacz mi więc system dziesiętny.“

Dowodziłem jak mógłem; zdawał się być zadowolony i w końcu wychylając filiżankę rzekł: „To wystarcza dosyć.“

„Tak“, powtórzyli inni, „bardzo dobrze.“

Sądziłem że już się wszystko skańczyło, gdy nagle ksiądz Bernard głos podnosząc zrobił uwagę, iż wszystko prócz śpiewu poszło pomyślnie, że śpiew zaniedbywałem trochę, lecz on ma nadzieję, że i w tém naprzyszłość dołożę starania.

Przyrzekłem wszystko czego odemnie żądano, z postanowieniem dotrzymania obietnicy. Pan Inspektor spojrzawszy na towarzyszy oświadczył, iż z egzaminu był zadowolniony. Potém zwracając się do mnie z wyrazem dobrotliwym rzekł: „Możesz napisać do księdza de Briqueville, żeś pomyślnie ukończył egzamin. Za dni kilka otrzymasz patent drugiéj klasy, który cię uwolni od służby wojskowéj Dobrze... bardzo dobrze... możesz teraz wyjść...“

Nisko ukłoniłem się wszystkim i zabrałem się do wyjścia, lecz klamki znaleść niemogłem. Radość zmysły mi odebrała, księża się śmiali, a jeden z nich rzekł: „Biedny chłopiec!... jakże on szczęśliwy!...“

Prawdę mówił, bo w życiu nigdy równie szczęśliwy nie byłem! Wyszedłszy na ulicę, skakałem, tańczyłem i ręce do góry wznosiłem, tak że chłopi brali mnie za waryata.

Pan Wilhelm stojąc przy oknie spostrzegł mnie i wyszedł na spotkanie do drzwi. Z daleka krzyczałem już: „Mam patent... mam patent drugiéj klasy!...“

„To dobrze, to dobrze Janie Baptyście“, rzekł śmiejąc się serdecznie, „ale uspokój się, patrzą na nas. Odpocznij.. jutro przyjdzie inspektor, ja sam będę w szkole.“

W jednéj chwili byłem już na górze, uściskałem panią Katarzynę i opowiedziałem jéj o skutku egzaminu.

Trzeba przez lata nie mieć grosza w kieszeni, przez lata być codzień w obawie utracenia chleba, żeby pojąć moją radość.

Bez straty czasu doniosłem rodzicom szczęśliwą nowinę i napisałem do księdza Briqueville z podziękowaniem za opiekę i z obietnicą być zawsze godnym jego względów.

Poszedłem rzucić oba listy do skrzynki; droga którą przechodziłem była ciągłym tryumfem, bo wszyscy spotkani winszowali mi serdecznie. z daleka wołając: Janie Baptyście, jesteś już zanominowany!

Nie było to więc marzenie... Teraz mówiłem do siebie, przyszłość jest przed tobą — naprzód — nic cię niepowstrzyma!

Radość taka trwała dni kilka. Po otrzymaniu patentu ksiądz Bernard kazał mnie zawołać na probostwo i zażądał zobowiązania się służenia przy szkole przez lat dziesięć. Próżność i nadzieja zostania nauczycielem rzeczywistym, zawróciła mi głowę. Mieszkanie, życie i 5 franków, zdawały mi się już niegodnemi Jana Baptysty Renaud. We czwartki, w czasie rekreacyi odwiedzałem kolegów z miejsc pobliskich i wypytywałem się ich czy nie wiedzą o wakujących posadach, któreby odpowiadały zdatnościom moim i patentowi nauczyciela drugiéj klasy. Starałem się skorzystać z każdéj zręczności w przekonaniu, że nic już być nie może powyżéj moich zasług. Na starania te czasu nie brakło, bo przez lato jedna część dzieci zbiera liście i pasie krowy, druga zaś pomaga rodzicom w składaniu siana, owsa i pszenicy, lub w końcu znosi gałęzie suche z lasu. Niektóre tylko, mianowicie bogatych rodziców nieprzerywają nauki. Tak więc szkoła prawie przez całe lato jest próżna.

Panu Wilhelmowi nie musiały być moje zabiegi obce, bo kiedy razu pewnego, zdecydowałem się zrobić uwagę, że odzienie i koszule moje już się podarły, że nie mam za co sprawić butów i że jestem zmuszony prosić o podwyższenie pensyi, on się nie zdziwił i odpowiedział spokojnie:

„Oddawna czekałem na to. Jesteś młody i dla tego widzisz wszystko w pięknych kolorach. Od chwili w któréj patent otrzymałeś, nic ci się nie zdaje być na równi z twemi zdolnościami. Tego co ci mówię niebierz za mymówkę, bo każdy na tym świecie szuka dla siebie korzyści. Pamiętaj tylko, że kiedyś przybył w końcu przeszłéj jesieni, byłeś szczęśliwy z kartofli i mleka, teraz masz jaja i sér, a od czasu do czasu nawet kapustę ze słoniną. — W czasie kolata miałeś chwile wolne do nauki i wycieczek z twemi kolegami w góry. Płaciłem ci regularnie co miesiąc ugodzone pięć franków, chociaż szkoła latem prawie próżną była... O tém wszystkiem pamiętać niechcesz.“

„Tak! oni wszyscy są niewdzięczni!...“ zawołała pani Katarzyna, „przychodzą wynędzniali, jedzą i piją nie pytając się co to kosztuje, a jak się wypasą, chcą żeby im pensyę podwyższyć i grożą odejściem; to podle!...“

„Cicho Katarzyno“, rzekł pan Wilhelm, „pozwól mi mówić.“

„Robiłem wszystko, żeby ciebie zadowolnić, bo przyznać muszę, że jesteś dobrym pomocnikiem. Tymczasem mówisz mi, że szukasz miejsca gdzie indziéj. Dałby Bóg żebyś nie żałował tego, bo pomimo znajomości ułamków i liczb dziesiętnych, pomimo pięknéj kaligrafii i ortografii, brak ci jest głosu! Katechizm i głos to najważniejsze. Nie tylko dziś ale zawsze tak było. Za Ludwika XV i XVI katechizm Toulski; za Rzeczypospolitéj katechizm praw człowieka ze śpiewami na cześć narodu; teraz zaś katechizm Metzki i śpiewy były i są głównymi przedmiotami. Kiedy nauczyciel umie katechizm i ma głos dobry, to z innemi przedmiotami nie wielka bieda. Ja n. p. chociaż nie mam patentu, ale ponieważ umiem katechizm i mam głos dobry, sto razy prędzéj niż ty znalazłbym miejsce. Kiedy zaśpiewam Gloria in excelsis, albo Tedeum, albo Kyrie, to głos się rozlega, wznosi i napełnia kościół cały, to robi przyjemność Bogu i ludziom. Ty zaś krzyczysz i rozdzierasz uszy, co odwraca umysły wiernych od rzeczy świętych. Sto patentów nie zastąpią głosu!... Co znaczy nauczyciel bez głosu? Żebyś był proboszczem i miał nauczyciela umiejącego nawet logarytmy, ale bez głosu, czybyś go trzymał? Odpowiedz szczerze.“

Pan Wilhelm mówił prawdę i dla tego odpowiedziałem skromnie:

„Proszę wierzyć że opuściłbym pana z prawdziwym żalem. Nie zapomnę nigdy coś dla mnie zrobił. Ale bądź pan sprawiedliwy; oto moje odzienie i buty... Czy w tém wyjść mogę? Czy nie wstyd dla szkoły, kiedy tak się przedstawię pp. Inspektorom? Chciałbym przytém od czasu do czasu coś rodzicom posłać.“

Pan Wilhelm chwilkę się zastanowił i rzekł w końcu:

„Dobrze, Janie Baptyście, dobrze, rozumiem; masz racyę i sam już nawet o tém myślałem. Dać więcéj niż pięć franków na miesiąc nie mogę; ale można znaleźć inne sposoby, które zaspokoją potrzeby.“

I opowiedział mi, że pięć czy sześć lat przedtém, za cesarstwa, zwykle po lekcyach wieczornych, od 8 do 10 uczył dorosłych mężczyzn, kobiety, chłopców, dziewczyny i robotników z fabryk sąsiednich. Każdy płacił franka na miesiąc co razem czyniło mu znaczny dochód, ale wojna przeciw inwazyi przerwała tę naukę, bo wszyscy od ośmnastu do czterdziestu lat wzięci byli do wojska.

„Jeżeli chcesz“, mówił daléj, „to sprobujemy. Ponieważ jesteś młody i wiek twój nie wzbudza poszanowania, będę więc przy lekcyi dla porządku, ty zaś zajmiesz się nauką. Głównemi przedmiotami będą arytmetyka i ortografia, ponieważ dziewczęta tego najbardziéj potrzebują i najmniéj umieją. Kiedy dziewczęta mało-miejskie i córki robotników dorastają, zwykle narzekają, że ani o utrzymywaniu książki wydatków gospodarskich ani o dodawaniu pojęcia nie mają. Jestem pewien, że w krótkim przeciągu czasu założymy szkółkę i dobre korzyści oba z niéj ciągnąć będziemy. W ten sposób zarobisz od 8 do 10 franków na miesiąc, co ci pozwoli i siebie oporządzić i rodzicom przyjść w pomoc; ale na miłość Boga, Janie Baptyście, rzuć ambicyę na bok; nie jesteś jeszcze w wieku w którym mógłbyś pełnić obowiązki nauczyciela samodzielnie, a ambicya wszystko zgubi.

Pan Wilhelm nazywając mię ambitnym, miał wielką słuszność, czułem się bowiem powołany do czegoś wyższego niż do uczenia przez całe życie katechizmu; patrząc zaś że biskup mieszkał w pałacu a ksiądz proboszcz w najpię-

kniejszym domu, mimowoli i we mnie chęci próżne obudzały się.

Ponieważ z natury nie byłem głupi, widziałem wszystko co się wkoło mnie działo; nie mogąc wznieść się przez pracę i roztropność, postanowiłem poddać się i być skromnym.

Można sobie wystawić jak byłem szczęśliwy z propozycyi p. Wilhelma: widocznie musiało to szczęście patrzeć z oczu, ponieważ zapytał:

„Janie Baptyście, czy to ci się podoba?“

„Tak“ odpowiedziałem, „to wszystko czego pragnę. Potrzebuję odzienia, butów i książek, bez których postępu nie zrobię.“

„Będziesz je miał, bo zarobisz na nie“, rzekł, „i zapewnić cię mogę, że uczniów będziemy mieli. Od lat dwóch bardzo wiele młodzieży powraca z wojny; trzy części nie wiele umie, jedna wszystkiego zapomniała. Pracując przy rodzicach w handlu lub w innych przedsięwzięciach, w wielkim są oni kłopocie.

„Miejmy nadzieję, panie Wilhelmie. Co do mnie, żądam tylko pracy.“

„Rzecz skończona“ rzekł wstając i podając mi rękę. „W przyszły Poniedziałek otworzymy szkołę wieczorną; tymczasem dzieci rozniosą nowinę po wsiach okolicznych. Będziemy mieli chłopców, dziewcząt i nawet ludzi żonatych. Zobaczysz. A teraz... iźdmy na spoczynek,“

„Dobranoc panie Wilhelmie i pani Katarzyno.“

Rozeszliśmy się zadowolnieni. Zdawało mi się żem ocalał, ale nie wszystko było skończone, ponieważ oczekiwał smutek największy jaki w całem życiu mnie spotkał, smutek którego się nigdy nie zapomina i który w starości nawet kiedy się go wspomni, ściska za serce. Ale to minęło, a ponieważ wypełniłem obowiązek snmiennie, pozostała w duszy pociecha. (C. d. n.)

PODRÓŻ
DO NOWO ODKRYTYCH KRAIN.

(Patrz Nr. 41. Sobótki.)

(Dokończenie.)

Zanim się rozstaniemy z Afryką muszę jeszcze dać krótki obraz odkryć Dr. Grzegorza Schweinfurta, zrobionych nad Nilem.

Odkrycie tajemniczych źródeł Nilu, każdego człowieka wyższego umysłu z dawien dawna zajmowało. Pochód Aleksandra W. do Nubii do świątyni Ammona, miał głównie za cel odkrycie tych źródeł, a późniéj nie jeden Rzymianin o to samo napróżno się kusił.

Przed stu laty puścił się anglik James Bruce w podróż do źródeł Nilu i daleko doszedł przez kraj dzikich Agowów, a chociaż twierdzi, że odkrył te źródła, z opisu jego i późniejszych podróżnych pokazuje się, że tylko widział źródła innéj wpadającéj do Nilu rzeki.

Dr. Schweinfurt wreszcie przedarł się do kraju Niam i tu odkrył źródła tajemnicze ciekawéj rzeki.

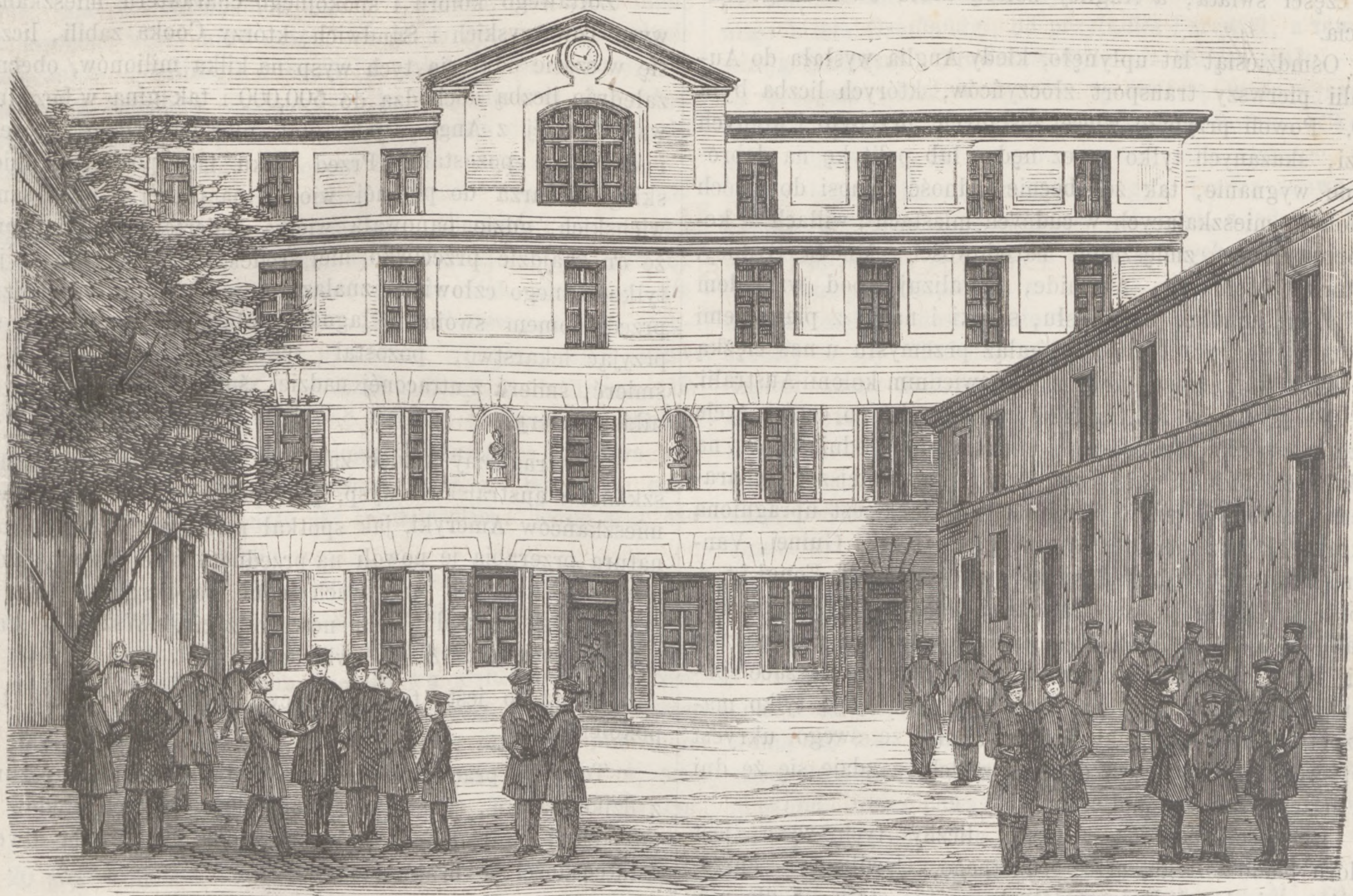
Puścił się on w górę ku białemu Nilowi, a potém po rzece Gazelli do Meszery el Rek (około 7° pół. szer.), a ztąd już daléj w głąb kraju. Dr. Schweinfurt zawarł był umowę w Charłum z koptyckim kupcem Ghattas, który przyrzekł zabrać go z sobą i bronić w razie przypadku. Ghattas handlował słoniową kością i obok tego odbywał polowania na niewolników. Naszemu podróżnemu święcie dotrzymał słowa. Pod koniec Marca 1869 roku przybyli oni do wielkiéj Seryby osady handlowéj leżącéj na granicy trzech szczepów murzyńskich: Dinkaów, Diurów i Dorów. Osada kupiecka w środku Afryki jest rzeczą tak ciekawą, że choć szkicowy dać muszę jéj obraz podług opisu samego Schweinfurta. Seryba Ghattasa należy do największych swego rodzaju. Z małych początków urosła ona przez trzynaście lat do wielkiego znaczenia. Znaczna liczba nubijskich kupców „Gellaba“, kupujących niewolników, oraz ze samych prawie dongolanów składająca się straż wojskowa, podnoszą liczbę żyjących tu wolnych ludzi do 250, a niewolników do sprzedaży napędzonych, oraz murzynów zajmujących się rolnictwem bywa do 2000, tak że osada ta ma podobieństwo do małego miasta. Głównie uprawia się tu proso, sesare, orzechy ziemne, tytoń i kukurydza. Rozległe pole jest otoczone lasami podzwrotnikowemi nie dającemi się zniszczyć. Rola rodzi bez wszelkiego nawożenia. Bezpośrednio należy do Ghatty 12 mil kwadratowych, z których przynajmniéj 3 kwadr. mile jest roli. Taka przestrzeń kosztowałaby w Europie milliony, w Afryce możnaby ją nabyć za jakie 20,000 talarów. Korzyść też jest téj wartości odpowiednia. Wydatki na utrzymanie 200 żołnierzy są znaczne, mimo to, że różnemi sposobami Ghatty umie ich oszukać lub zbywać; sama sprzedaż niewolników mało przynosi, bo ich sprzedaje Gellabaom za bezcen, za wyroby bawełniane i inne podobne artykuły handlu, a masa rabowanego bydła, które jest podstawą handlu słoniową kością, nie zawsze wystarczy do zaspokojenia wymagań kilku set ludzi przynoszących tę cenną kość z kraju Niam-Niam. Niesłychane masy miedzi i pereł potrzeba do zapłacenia słoniowéj kości i jéj transportu, który zajmuje każdego roku sześć lub siedm miesięcy. Europejczycy zaczęli robić konkurencyą handlową miejscowym mieszkańcom. Lecz nie zajmując się ni handlem niewolnikami, ni też rabowaniem bydła, a płacąc tylko gotówką za słoniową kość, powoli ustąpić musieli, i prawdopodobnie jeszcze długi czas upłynie, zanim i tu uczciwe zasady będą podstawą handlu.

Z téj Seryby puścił się Schweinfurt z karawaną strzelców słoni w roku 1870 ku południowi do kraju Niam-Niam (3° półn. szer.). Tu znalazł on rzekę ku zachodowi płynącą, zwaną Uele, a którą on uważał za rzekę Szary, wpadającą do jeziora Tsad w środkowéj Afryce. Włoski po-

dróżny Piaggi wspomina o wielkiem jeziorze w środku kraju Niam-Niam. Ono ma być jedném z jeziór, z których Nil wychodzi. Podług Schweinfurta to jezioro wcale nie istnieje. Klimat znalazł on w tych stronach bardzo przyjemny i zdrowy, ale narody tu mieszkające są ludożercze. Prócz tego odkrył Schweinfurt w téj stronie świata naród karłów, „Akka“, gatunek wielkich małp podobnych do Gorylla i znaczną masę bardzo pięknych i nieznanych dotąd roślin, czem znakomicie wzbogacił botanikę, która też jest jego specyalną nauką.

W ogóle pozostała ta część świata przykryta zasłoną tajemniczości; o kraju, w którym są zwierzęta ssące z pierzem i dzióbem, drzewa rzucające na zimę korę, a zatrzymujące liście, ludzie do małp podobniéjsi niżeli do nas, ludzie którzy w socyalnych stósunkach ledwie o krok, o jeden szczebel wznieśli nad goryllo i u których narzeczony upiększa swoją bogdankę, wybijając jéj przednie zęby za pomocą kamiennego dłóta i takiegoż młota, nie wiele wiemy.

W piaszczystych bezleśnych i bezwodnych pustyniach Australii, bardzo wielu apostołów nowéj idei znalazło śmierć



Szkoła polska na Batignolles.

II.

Przenieśmy się teraz do innéj części świata, do Australii, która jeszcze mniéj jest znaną, niżeli środkowa Afryka. I tu widzimy w około wysp nad brzegami Oceanu liczne nazwy miast, portów i przystani, a w środku — puste, nagie obszary, jakby tu dopiero wszystko tworzyć się miało i wydobywać czarodziejską różczką europejskiego przemysłu, rydlem rólnika i łomem górnika.

Wielu dotąd starało się wedrzeć w głąb tego tajemniczego kraju, który zdaje się być najstarszą częścią świata, zapadającą się w środku, a wzniosłą nad brzegiem morza, lecz nie wielu udało się wrócić szczęśliwie i przynieś wieść o ziemi téj i człowieku na niéj zamieszkałym.

męczeńską, a mimo to wciąż nowe zastępy cisną się by odsłonić tajemnicę.

Mniéj dotąd wiemy o środkowéj Australii niżeli o księżycu, jednak z tém co wiemy podzielimy się z czytelnikami.

Pierwszy wiadomy męczennik badania Australii był niejakiś Zeichhardt. Przepadł w pustyni i ślad za nim zaginął. Dla odszukania go wysłano kilka ekspedycyi do puszcz i lasów, które idąc coraz nowemi drogami znalazły, że tam są także okolice nader żyzne, cudne łąki, nieprzebyte lasy.

W roku 1848 udała się wielka liczba uczonych, artystów, rzemieślników i przemysłowców z Berlina w podróż do środkowéj Australii. Pomiędzy biorącymi udział w wy-

prawie był uczony Schomburgk, wyposażony naukowemi narzędziami. Jemu też wiele się zawdzięcza.

Za pomocą tych narzędzi odkrył tajemnicę wnętrza kraju, obserwując go przez kilka lat. Higrometr pokazał mu, że wiatry przychodzące od strony lądu przynoszą z sobą wilgoć. Ztąd wnioskował Schomburgk, że środkowa Australia nie może być jedną wielką straszną pustynią piasczystą, bo z takowéj wiatr nie może zabierać wilgoci. To spostrzeżenie zachęciło do śmiałych ekspedycyi, które z wszystkich stron wyruszyły, a z których jedna rzeczywiście dotarła do samego środka ogromnéj wyspy. Ona stwierdziła wnioski uczonego. Trup Leichhardta i meteorologia otworzyły wnętrze téj części świata, a Anglicy zbiorą złote owoce tego odkrycia.

Ośmdziesiąt lat upłynęło, kiedy Anglia wysłała do Australii pierwszy transport złoczyńców, których liczba była 850. Powoli przybyło więcéj zesłanych, przybyło i wolnych ludzi, skazanych tylko przez nędzę lub politykę na dobrowolne wygnanie, tak że obecnie ludność wynosi do dwóch milionów, mieszkających w cudnych miastach i willach w kosmopolitycznem zmięszaniu narodowości. Miasta Sydney, Victoria, Melbourn, Adelaide, rywalizują pod względem piękności, handlu, przemysłu, sztuki i nauki z pierwszemi miastami Europy, a niejedna gałąź przemysłu u nas ciężką już toczy walkę z przemysłem odpowiednim kolonii Australii.

Na wyspach do Australii należących, po części życie jeszcze jest rajskie i stosunki ludzkie odpowiednie temu; na niektórych ludność miejscowa jest najłagodniejszego charakteru; na innych znów pieczeń z człowieka jest upragnioną łakotką. Pyszna, bogata jest przyroda Nowéj Guinei, Vandimeslandu, wysp Marjańskich, Nowéj Kaledonii, Fongi i t. d. i one powoli staną się filarami do mostu, łączącego Australię z Azyą i Ameryką, fundamentem do elektrycznéj nici, łączącéj świat cały. Skarby nieprzebrane, leżące spokojnie od wieków w łonie tych ziem, oczekują tylko magicznego słowa, któreby ich wyrwało ze swego ukrycia i przerobiło w bogactwa dla wszystkich, a zdaje się że dni ich bezczynności są policzone.

Ludność spokojna większéj liczby tych wysp, jest koloru blado żółtego, nieco brunatnego. Cywilizacya, chrześciaństwo i zbytek Europy dotychczas nie stały się dla niéj źródłem nowego życia. Na wspie Tymor i sąsiednich jéj mieszkają ludożercy, lecz cywilizacya europejska i amerykańska, wciskająca się ze wszech stron, jeszcze jest chciwszą na ludzkie życie. Pod jéj wpływem, jakby pod wpływem dżumy wymierają te ludożercze szczepy, a to wcale nie dla gwałtów, których się zresztą nie dopuszczają przybysze, ale po prostu dla tego, że w duszy tych ludzi zgasła nadzieja, żeby się kiedykolwiek uwolnić mogli od wpływu kultury białych.

Rzecz to nie pojęta dotąd i nie wytłomaczona; gdzie tylko inne plemiona, nie aryjskie wchodzą w styczność z aryjskiem, indoeuropejskiem, tamte znikają, jak znikły wielkie zwierzęta panujące niegdyś na ziemi, gdy się na niéj zjawił człowiek.

Czemu przypisać to dziwne zjawisko? Może to wpływ niezbadany siły elektrycznéj lub magnetycznéj, jakiegoś rodzaju galwanizmu, który wychodząc z nas, z ludzi cywilizowanych, zabija istoty nieucywilizowane. Człowiek cywilizowany jest produktem umysłowéj, moralnéj i prawnéj siły, a zatém czemś zupełnie inném jak człowiek natury i tak się unikają jeden i drugi, jak pies i jego praprzodek, dziki wilk. Doświadczenia pokazały, że dzikie pszczoły i buffalo instynktownie czują przybycie białego człowieka i uciekają z okolicy, w któréj się on osiedlił. Dzicy ludzie nie uciekają, ale uporczywie walczą o swoje terytorya, na których dotąd sami tylko polowali i w téj walce ulegają. Wszędzie dla nich odgrywa się straszny dramat, skreślony przez Coopera w powieści „Ostatni z Mohikanów.“

Żółtawego koloru i spokojnego charakteru mieszkańcy wysp Towarzyskich i Sandwich, którzy Cooka zabili, licząc się w czasie odkrycia tych wysp na kilka milionów, obecnie zaledwie liczbą dochodzą do 500,000 i tak giną w bezsilnéj walce swojéj z Anglią, jako ptak olbrzymi Dodo, którego i śladu nie pozostało. Przed kilku laty posłano angielskiego lekarza do pięknéj wioski na jednéj z wysp sandwichskich, gdzie panowała wielka śmiertelność. Sądzono, że on znajdzie przeciwko niéj środek. Kiedy przybył, już tylko jednego człowieka znalazł przy życiu, a ten siedział przed domem swoim i łagodnie ale stale wzbraniał się przyjąć lekarstwo; pozostał na swém miejscu, aż go śmierć, śmierć z utraconéj nadziei, śmierć z rozpaczy uwolniła od cierpień.

Ten tragiczny koniec zapewne spotka wszystkich mieszkańców australskich wysp, jak spotkał czerwonoskórnych mieszkańców Ameryki, jak spotkał mamutów nawet. Sroga natura przerabia je powoli na przedpotopowe utwory, które leżąc w rozmaitych warstwach jedne na drugich, stają się materyałem i przedmiotem nowego życia. Wszystko stare ustępuje nowéj, wyższéj cywilizacyi.

A cóż to jest ta cywilizacya, która pochłania tyle pokoleń?

To jest praca wykształconéj siły, to walka rozumu z dziką naturą, to przekształcenie jéj surowych płodów na pożytek i przyjemność ludzkości, dla pogodzenia dwóch ostateczności — braku i zbytku.

Tak zwane, dzikie narody, po największéj części nie są zdolne do téj pracy, unikają jéj i w części też skutkiem tego wymierają. Musimy to uważać za nieubłagany proces natury przy rozwoju cywilizacyi tak, jak wyginienie dawnych zwierząt-olbrzymów, uważamy za naturalny proces. Żelazna logiczność rozwoju cywilizacyi wiedzie ludzkość przez groby kwitnących niegdyś narodów, do wyższych szczebli i temu prawu ulegną mieszkańcy Australii.

Obecnie już utworzyła się kompania, która ma zamiar połączyć Australię z Indyanami za pomocą podmorskiego telegrafu, od Singapore do Port Darvin, a ten telegraf potém ma być przedłużony przez środek kraju, w którego pustyniach dotąd tylu badaczy, tylu pionierów europejskiéj cywilizacyi śmierć znalazło. Prądy elektryczne, które krążyć będą po téj części świata, nie zelektryzują zapewne wymierających mieszkańców. Umrą z rozpaczy.

III.

Rzućmy jeszcze okiem na inną stronę świata, na region lodowatego Oceanu, a choć tu jeszcze mniéj życia znajdziemy, to nie mniéj i ztąd wyniesiemy naukę. Wszak to warto poznać się z całą siedzibą ludzkiego rodu, z któréj dotąd jeszcze nie znamy 600,000 mil kwadratowych, z których przypada 390,000 na okolicę południowego bieguna, 140,000 na region północnego bieguna, a 70,000 na środkową Afrykę.

Podróżny puszczający się w głąb Afryki lub Australii, ma do walczenia z dzikiemi zwierzętami, z dzikiemi ludami, z chorobami różnego rodzaju. Kto zwiedza lodowate morze, ma do walczenia z dzikim oceanem, z górami lodu, z mrozem, który krew ścina. Cześć jednym i drugim z tych apostołów cywilizacyi i nauki! Opiszemy tu w krótkości jednę z ostatnich ekspedycyi, by Czytelnikom dać choć mały obrazek cierpień na jakie ci ludzie dobrowolnie się narażają. Trzymamy się opisu Dra Petermanna.

Dnia 20 Lipca 1869 okręt „Hansa“ ostatni raz widział się z okrętem „Germania.“ Kierował się on ku wschodnim brzegom Grenlandyi i zbliżył się do nich na 16 mil morskich, lecz dostać się do nich nie mógł dla baryer z lodu; 19 Września „Hansa“ zewsząd była otoczona lodem, który zaczął ją ściskać, ciężarem kilku milionów cetnarów. Okręt trzeszczał i drżał, a w końcu, 19 Października woda zaczęła się wciskać do niego. Z wielką biedą ratowano żywność i węgle kamienne i naukowe narzędzia, co wszystko wyniesiono na lód. Wszystko inne razem z okrętem utonęło 29 Października. Tylko trzy łodzie wyniesiono z niego.

Trudno sobie przedstawić położenie biednéj osady okrętu. Nad nią noc północnéj strefy z wszystkiemi okropnościami téj nocy, pod nią wyspa z lodu, którą prądy morskie niepohamowanie pędziły ku południowi, a która lada moment roztopić się mogła i przy tém wszystkiem średnia temperatura 12° R. Było to straszne położenie. Zatonięcie okrętu zakończyło pierwszy akt dramatu téj ekspedycyi. Ludzie jednak nie rozpaczali. Z kamiennych węgli na płynącéj lodowatéj wyspie zbudowali dom, mający 20 stóp długości, 14 stóp szerokości i 8½ stóp wysokości, i w którym sobie nawet piec do gotowania urządzili. Liczyli oni na to, że na téj wyspie mającéj 7 mil morskich obwodu, która wciąż ku południowi się posuwała, pożyją z jakie 9 miesięcy i że dopłyną do strony, w któréj będzie możliwym ratunek.

I w rzeczy saméj, 13 Czerwca 1870 r. 237 dni po utonięciu okrętu zostali uratowani. Lecz podróż tych ludzi po lodzie do Grenlandyi obfitowała w niebezpieczeństwa i grozy wszelkiego rodzaju i może pod temi względami nie ma rownéj sobie. W dzień Bożego Narodzenia już upłynęli od miejsca, gdzie morze okręt pochłonęło, 3 stopnie (45 mil), a to święto obchodzono na lodowatéj, płynącéj wyspie. W Styczniu 1870 r. rozpoczęły się największe niebezpieczeństwa, a życie mieszkańców wyspy wisiało na włosku.

Burza ryczała, gęsty śnieg leciał i pokrył ludzi i dom przez nich zbudowany oraz łodzie; ledwie na kilka kroków przed sobą widzieć można było. Wtém usłyszano grzmot i trzeszczenie lodu; jeden kawał wyspy po drugim się kruszył i popłynął swoją drogą udzielną. Trzeba opuścić dom, który grozi utonięciem. Nieszczęśliwi stoją przy łodziach, by w nich w danym razie szukać schronienia, albowiem z ich wyspy pozostała się tylko kra, mająca 200 kroków. Na téj nędznéj bryle lodu, na któréj co moment śmierć groziła, pozostali rozbitki jeszcze 100 dni, aż do 7. Maja. Podług ich rachuby nie mogli oni być daleko oddaleni od południowego końca Grenlandyi, od przylądka Farewell, a tam mieszkają Duńczycy. Prowiantu było już bardzo mało — lecz ku brzegom widać wodę. Na tę otwartą wodę wysadzono łodzie i ludzie w nie wsiedli. Lecz podróżowano tylko dwa dni, zbliżono się do brzegów na trzy mile szerokie, aż tu znowu lodowa baryera tamuje drogę. Trzeba znowu lawirować. Wydawano już tylko po pół racyi, a jedzenie trzeba było odgrzewać na lampach spirytusowych. Wielka liczba ludzi zaczęła cierpieć t. z. śnieżną ślepotę. W końcu po długich mękach dostały się łodzie do skalistéj, a nie zamieszkałéj wyspy Idluitlik, płynęły około jéj brzegów, gdzie dopiero słaby ślad wegetacyi spostrzeżono, aż wreszcie 13 Czerwca rozbitki dobili do misyonarskiéj osady Frydrychstal, gdzie ich misyonarze protestantscy przywitali i gościnnie przyjęli. I mieszkańcy téj okolicy, eskimosy, zbiegli się na przywitanie szczęśliwie ocalonych. W pobliskim Julianshaab był okręt duński, który cudownie uratowaną osadę Hanzy zawiózł do Kopenhagi.

Hanza nic nowego wprawdzie nie odkryła, ale wzbogaciła naukę pod względem meteorologii i prądów morskich.

Parowiec Germania szczęśliwiéj odbył swoją podróż, odkrył w półwyspie Bessant, z góry 4000 stóp wysokiéj, wolną od lodu fjord (buchtę) i do niéj wpłynął. Im daléj okręt się posuwał, tém łagodniejszą stawała się temperatura, a okolica coraz poważniejsza, — prawdziwy kraj alpejski. Środkowa Grenlandya, kraj nieznany leżał przed oczami żeglarzy, a krajobrazy coraz piękniejsze przedstawiały się ich oczom. Wszyscy zdumieli gdy to spostrzegli. Gletszery na odległych górach, kaskady rozliczne, rzeczki dziko spadające z gór i same góry coraz to wyżéj piętrzące się, przedstawiły się wzrokowi, a w środku wzniosła na 14,000 góra nad wszystkiém panować się zdawała.

Kocioł Germanii był nieco uszkodzony i skutkiem tego było trzeba myśleć o odwrocie. 24 Sierpnia znów wypłynęła na otwarte morze i szczęśliwie przybyła do Bremy 11 Września, zkąd 15 Czerwca razem z Hanzą wypłynęła.

*
* * *
*

TRZY MOGIŁY

przez

Władysława Bełzę.

(Ciąg dalszy.)

II.

Pod Krakowem trzy mogiły,
Niby trzy strażnice,
Dwóch wojaków przytuliły,
A trzecią dziewicę.

Grób dziewicy, lud własnemi
Usypał rękami:
„Wanda leży w naszéj ziemi"
Śpiewając ze łzami.

Skoro tylko z pierwszą wiosną,
Słonko się wychyli:
Na mogile kwiaty rosną
I ptaszyna kwili.

Kwiaty wieńczą ją dokoła,
Niby ślubnym wiankiem:
A ptaszyna ciągle woła
Jakby za kochankiem.

Próżno kwiaty wy rośniecie,
Dla cudnéj dziewoi...
Nigdy ona was nie wplecie
Już do kosy swojéj!

Późno ptaszku z zorzy błyskiem,
Brzmi piosenka twoja:
Przed kochanka to uściskiem,
Uciekła dziewoja.

Bo on hardy, kraj chciał zgubić
Mieczem i płomieniem:
Bo go łatwiéj mógł zaślubić,
Żelaznym pierścieniem...

Chociaż głosił wciąż najwierniéj,
Miłosne zapały,
Zbrojne tłumy jego czerni,
Po kraju szalały!

Oj! nie z takim to orszakiem
Idzie się na gody,
I nie droga takim szlakiem
Do dziewicy młodéj!

I nie takie to ofiary
Lubéj się przynosi:
I nie z takiéj krwawéj czary,
Wiwaty się wznosi...

Purpurowym łuny pasem,
Niebo się pokryło:
A lud płakał już tymczasem,
Nad Wandy mogiłą...

Bo nim fala po zagonie,
Rycząc przeszła gniewna:
Już w srebrzyste Wisły tonie,
Skryła się królewna...

I zapłakał łzy krwawemi,
Naród u mogiły:
„Wanda leży w naszéj ziemi"
Echa mu wtórzyły.

(Dokończ. nast.)

Luźne kartki ze wspomnień powstańczych.

Walenty Parczewski.

(Patrz Nr. 38. Sobótki.)

(Ciąg dalszy.)

Generał Taczanowski, z pewnych powodów, nie łączył się z oddziałem Parczewskiego — a kiedy chwilowo pod Sędziejowicami zjechali się razem, radził mu odłączyć się ze szwadronem swoim, jeśli chce uniknąć dla ludzi zgubnego wpływu zepsucia i niesnask jakie w oddziałach jego się gnieździły.

I tak się stało! bo kiedy łuny jedna po drugiéj zasłaniały odwrót szeregów powstańczych — on jeden, jak niespożyty duch zemsty... długo, długo uganiał się za wrogiem.

Otóż jeden z listów jego, w jakim tak żywo maluje stan duszy swojéj:

„... I jakąż ja, drogi bracie mogę Ci pociechę udzielić?! oto wyspowiadać również z tego co boli... bo sam świadkiem będąc przez kilka dni z moim szwadronem przy gen. Taczanowskim, wiem jak niedostateczną była jego jazda, w któréj dużo twoich podkomendnych się znajdowało — (mówimy tu o Sędziejowicach i Kruszynie). Powiadam Ci drogi bracie, że zaledwie kilku tylko oficerów się dystyngowało — a na których czele błyszczał nasz dzielny, kochany Teodor Mniewski. W chwili kiedy Ci to piszę, dostrzegłbyś łzę w oku mojem — bo oto stawa mi obrazem owa chwila, kiedy Teodor na czele swego szwadronu szedł pod Złoczewem na armaty — kiedy na niego wołałem: Teodorku! nie zapominaj żeś jedynakiem!*) a on w podobieństwie kokieteryjnéj panienki, błysnął na mnie pałaszem — i wpadł pomiędzy Moskwę!... Jest to złoty, bohaterski chłopiec. Nie mniéj

*) Teodor Mniewski stracił rękę lewą pod Sędziejowicami.

ze znajomych odznaczyli się: Zdzisław Błeszyński, obadwaj bracia Piotr i Aleksander Szembeki, Zakrzewski, Okoniewski — i kilku innych — niestety, mówię tylko kilku!

„Co do mnie, donoszę Ci, że te parę dni które teraz na próżniactwie przepędzam, bardzo mi nie służą — brałem na womity i zażywam pigułki — moskiewskie, ołowiane, lepiéj skutkowały, bo przez czas jak siedziałem na koniu, byłem zdrów jak sam koń — a teraz chérlam na kaszel i reumatyzm, tak, że z niecierpliwością wyczekuję rozkazu na koń!

„Ale cóż mój drogi, takiego szwadronu jaki mi Bóg dozwolił zgromadzić, już więcéj nie ukompletuję, bo ani w Polsce, ani w żadnym kraju takich ludzi nie znajdę, bo ich niemasz nigdzie! Był to dobór najdzielniejszego żołnierza naszego powstania, byli to szaleńcy odwagi! a przytém posłuszne, pojętne dzieci. Ja, co do méj osoby, nie rejterowałem nigdzie, nie oszczędzałem się, a byłem pierwszym tchórzem w szwadronie, miałem 60 kilku uczni szkoły głównéj i politechnicznéj, 35 ze straży ogniowéj, kilku obywatelskich synów z Gostyńskiego, a z Łęczyckiego najmniéj, w ogóle, przeważnie ludzie z wykształceniem, ogładą, mili, delikatni, a odważni, nad wszelkie wypowiedzenia! nad wszelkie pochwały!

„Dla tego téż, kochany bracie, po każdéj batalii straty były dotkliwe. Nie uwierzysz mi jeśli Ci powiem, że bywały natarcia, w których ani jeden ładunek nie był spalony, a regularna jazda wroga żadnego ataku naszego na pałasze wytrzymać nie mogła, z wyjątkiem czerkiesów, z którymi kilka razy ucieraliśmy się na pałasze i dzielnie nam dotrzymywali placu. Boże mój! serce mi się kraje, łzy zalewają oczy na to co ci powiem, a na potwierdzenie czego, bardzo mało pozostało świadków! bo ze 145 najdzielniejszych z dzielnych moich kolegów i braci, pozostało mi tylko... sześciu! całość wyginęła, lub pozostała na zawsze kalekami...

„Chwała im! moim bohaterom! i wieczna dla nich pamięć!*)

„Cóż powiesz, że idąc do ataku pod Wolą Cyrusową na armaty z jednym plutonem, powróciłem do szwadronu tylko z dziesięcioma! sam zaś piechotą, bo ubito mi konia, ale armaty odebrane i zagwożdzone, a kanonierzy wycięci. Takich miałem żołnierzy bohaterów, takimi, Bóg mi za jakieś zasługi dozwolił komenderować ludźmi!“

*) Tu musimy poświęcić kilka słów pamięci Stefana Brzozowskiego, który poległ pod Walewicami. Był to młodzieniec pełen nadziei, dusza poetyczna, rozgrzewająca przykładem osobistéj odwagi i udatnym rymem współkolegów. Śpiewy jego zastósowane do okoliczności, pełne zapału rycerskiego, przypominały nastrój duszy Mieczysława Romanowskiego. Lutnista bojowy, również jak tamten, wstąpił do mogiły z orężem i pieśnią. (Przyp. autora.)

Walenty Parczewski przybywszy w Grudniu z nadwerężonem zdrowiem do rodzinnego domu swego do Osieka w Poznańskiem, niemógł długo tam bawić. Władze pruskie śledząc obroty niedobitków Polskich, tropiły i jego. Wyjechał więc za granicę.

Wygnany z pól własnych, jak żóraw przed szronem co ścisnął ojczystą ziemię... i on za drugimi podążał na Południe — zatrzymując się chwilowo w Dreznie, dokąd był wezwany jako rozjemca sądowy w sprawie Dalkowskiéj — i stanął w Genewie, owym porcie republikańskich swobód; w owym rezerwoarze kipiącym wrzątkiem najczystszych, najszczytniejszych uczuć i pojęć i najwstrętniejszych szumowin!

Towarzyski i braterski, znalazł tam przyjaciół, co więcéj, znalazł serca, których pamięć słodziła mu ostatnie boleści chwile. Ugnieciona pierś smutnemi kraju wypadkami, silniéj bić zaczęła pod prądem ożywczym wstrząśnień. Listy jego w początkach, (niestety, nie tak było późniéj) z Genewy pisywane do rodziny, tchnęły świeżością i życiem. Rodaków zastał tam wielu — a ten tylko pojmie czém jest twarz braterska na obcéj ziemi, kto osamotniony, w zarysach cudzych ludzi odbijających się na ciemnem tle nocy, goni podobieństwa i wrażenia rodzinnych strat.

Zamieszkał na Quais des Paquis (Pension d'etrangers) Życie w pensionie takim wspólne jak na okręcie, śniada się, obiaduje, czyta, lub muzykuje razem, z tąd znajomości zawierają się łatwo. Wynikiem tychże, była wycieczka wspólna na górę św. Bernarda. Towarzystwo złożyło się z kilkunastu osób, t. j. Anglików kilku, rentiera Amerykanina z córką Miss Mary, wątłego zdrowia, lecz wysokiéj inteligencyi i szlachetnéj postawy 18letniéj dziewicy, Hiszpana, pana José Altimina, przyjaciela Prima, panny Aleksandryny Kaczanowskiéj, siostry generałowéj Bosak-Hauke i Parczewskiego. „15 Sierpnia“ tak opowiadał, „ruszyliśmy piechotą, a kobiety na mułach, w górę, każden mimo dokuczliwego w dole gorąca, ciepło zaopatrzony. Droga uciążliwa, lecz dająca niezwykłe wrażenia, nie nużyła nas, owszém, wyspiarze sadzili się na pomysły i dowcipy, to nucąc wesoło, to rozglądając się po okolicy lub robiąc zarysy olbrzymich widoków.

(C. d. n.)

Rozdział z tomu piątego

HISTORYI POWSTANIA NARODU POLSKIEGO 1861—1864

przez

Agatona Gillera.

Wypadki Lutowe.

(Ciąg dalszy.)

Wkrótce po złożeniu trupa Arcichiewicza, pan Andrzej Zamojski upoważniony przez szlachtę zebraną w towarzystwie i przez lud warszawski, zabrawszy z sobą Aleksandra Ostrowskiego, pojechał w deputacyi do zamku ze skargą na zaszłe nadużycia, z żądaniem ukarania winnych i uspokojenia kraju przez zadosyćuczynienie jego potrzebom. Gorcza-

ków wyraził deputacyi swoje ubolewanie z powodu krwi jaką przelano i wypadków zaszłych tak niespodziewanie. W odpowiedzi na zapytanie: kto dał rozkaz strzelania? rzekł, że rozkazu sam nie dawał, że zarządzi śledztwo, które winnych wynajdzie i ukarze. „Ja powiem panom, jakie wydałem rozkazy. Oto poleciłem gubernatorowi, ażeby nie wydawał cytadelli, nawet wtedy, gdybym na to wyraźny mu rozkaz przesłał.“ Pokazuje się z tego, że Gorczaków spodziewał się wybuchu rewolucyi i to groźnéj, która mogłaby go zmusić do wydania podobnego rozkazu, że wypadków zaszłych nie rozumiał, czemu się zresztą dziwić nie można, gdyż były one dla wszystkich niezrozumiałe, plan ich bowiem i charakter nie był z góry ułożony. Co się tycze środków, jakie mu przedstawiono za konieczne do uspokojenia kraju, powiedział, iż na takowe zgodzić się nie może, że ustępstwa żadnego narodowi uczynić nie jest w mocy, że uwolnić każe kilkunastu aresztowanych, ale władzy i prawa, które mu wzbrania przyjąć adres, nie chce osłabiać. Zapewniał przytém, że postępować będzie według sprawiedliwości, że nie dopuści żadnego nadużycia i że na jego prawości polegać mogą mieszkańcy Warszawy. Tak więc deputacya nic nie wskórała u namiestnika. Przedstawienia jéj zostały odrzucone i mało było nadziei, ażeby dalsze nalegania uwieńczone były jakimkolwiek skutkiem, znana jest bowiem zasada rządu moskieskiego, która podniesienie głosu poddanych do tronu, w innym celu jak złożenie hołdu i przyrzeczenie bezwarunkowego posłuszeństwa, uważa za ujmę i obrazę władzy, sama zaś nic nie czyni takiego, coby jego podniesienie czyniło zbyteczném.

Nie zrażono się jednak pierwszém niepowodzeniem. W resursie kupieckiéj było dnia tego liczne zebranie, dochodzące przeszło pięćset osób, złożone z główniejszych reprezentantów miasta, przemysłu, handlu i literatury. Był tam pomiędzy innymi Karol Ruprecht, ceniony dla rozumu, cnót a szanowany z powodu cierpień jakich doznał pod szubienicą w 1846 roku i w kopalniach nerczyńskich; był Edward Jurgens jeden z najbardziéj wpływowych przewodników téj młodzieży warszawskiéj, która nie przez rewolucyą, lecz odradzanie i wzmacnianie sił narodowych, niepodległość Polsce wywalczyć zamierzała; był Matias Rosen, bankier, żyd patryota, rozumny i dobroczynny, wykształcony na pisarzach polskich z zygmuntowskiéj epoki, zwolennik równouprawnienia wyznań i skłonny do doniosłéj byle umiarkowanéj inicyatywy człowiek; był Józef Ignacy Kraszewski, najobfitszy z polskich pisarzy, mający rzadką zdolność budzenia w około siebie ruchu umysłowego a w Warszawie jeden z najczynniejszych zapaśników równouprawnienia żydów; był Leopold Kronenberg, przedsiebierczego i bystrego umysłu bankier, przeciwnik szlachty jako stanu, a gorliwy inicyator w sprawie równouprawnienia żydów; był Ksawery Szlenker, starszy zgromadzenia kupieckiego, człowiek równie energiczny jak przytomny, mający dar szybkiego obejmowania rzeczy i prędkiego decydowania się — oraz wielu innych znakomitych ludzi umiarkowanego stronnictwa, którzy przedstawiając polskie mieszczaństwo, sięgali po kierunek sprawy narodowéj, spoczywający dotąd w ręku szlachty reprezentowanéj przez Komitet rolniczy. Hasłem równość i braterstwo wszystkich stanów bez różnicy wyznań, wyróżniało się mieszczaństwo i stanowiło więcéj liberalną falangę umiarkowanego stronnictwa, które było przeważném w Polsce.

Zgromadzenie w resursie nie było przez nikogo zwoływane. Zebrane przypadkowo, rozdzielone na różne grupy, zajęte było opowiadaniami o wypadkach dnia tego i rozprawami nad tém: co robić należy? Rozprawy do żadnego rezultatu nieprowadziły, w takiéj bowiem liczbie, bez prezesa i sekretarza rozchodzić się musiały w różne strony i wyjść nie mogły z obrębu pogadanek. Uczucie zgrozy, jakiem przejęci byli obecni, zrozumienie potrzeby zadosyćuczynienia dla ludności zabijanéj i poniewieranéj przez wojsko, niedozwalało rozejść się bez przedsiewzięcia jakich kroków dla uzyskania sprawiedliwości. Nikt jednak z wielu zdań i potoku słów wyrozumieć nie mógł coby przedsięwziąść należało; nikt znając bezwzględność, surowość i despotyzm najazdu, nieprzypuszczał, ażeby rząd jego zdolnym był do wysłuchania głosu pokrzywdzonéj ludności, wszyscy zaś wiedzieli, że o wyzwaniu do wojny i o stanowczym oporze myśleć nie można było przy zupełnéj bezbronności i nieprzygotowaniu ludu. Gdy więc rozprawy gubiły się w chaosie ktoś zaproponował, ażeby dla naradzenia się nad środkami jakieby przedsięwziąść należało, wybrać kilkunastu ludzi i im jako mandatarjuszom od miasta poruczyć obmyślenie i wykonanie sposobów, które za stósowne uznają dla uzyskania sprawiedliwości. Propozycyę tę przyjęto i po godzinie 8 wieczorem w dolnéj sali resursy przez aklamacyę wybrano delegacyę z następujących osób: Jakóba Lewińskiego generała byłych wojsk polskich; Leopolda Kronenberga bankiera; Ksawerego Szlenkera kupca; Matiasa Rosena bankiera; J. I. Kraszawskiego literata i redaktora Gazety Codziennéj; Józefa Keniga redaktora Gazety Warszawskiéj; Karola Bayera fotografa i archeologa; Stanisława Hiszpańskiego majstra szewskiego; Augusta Trzetrzewińskiego obrońcę przy senacie; Jakóba Piotrowskiego właściciela ziemskiego; Dra Chałubińskiego, profesora w medycznéj akademii i księdza kanonika wikarego parafii św. Karola Boromeusza; Józefa Wyszyńskiego uczonego naturalistę. Wybrani byli wszyscy obecni w resursie, prócz ks. Wyszyńskiego, po którego zaraz posłano. Niezastali go w domu, więc na jego miejsce przyszedł ks. Stecki, który już pozostał w Delegacyi, chociaż niebawem nadszedł ks. Wyszyński. Takim sposobem delegacya złożoną została z trzynastu osób. Początkowa jednak narada pod kierunkiem Szlenkera, odbywała się w liczbie dwunastu członków, Kronenberg bowiem pojechał do Tomasza Potockiego, gdzie zebrani byli obywatele wiejscy.

(C. d. n.)

SZKOŁA POLSKA NA BATIGNOLLES W PARYŻU.

(Z ryciną.)

Niema nic w życiu dramatyczniejszego, jak los wygnańca, los Polaka z przymusu przykutego do obcéj ziemi i obcych ludzi. Nieraz patrząc na nędzę rozbitków naszych, na męczeństwo cierpiących, opuszczonych, zapomnianych od swoich, od rodziców, od żon, od dzieci, od rodzin, nieraz przychodzi zwątpić o sercu ludzkiem i zaboleć nad człowieka naturą.

My wynosimy z kraju miłość dlań przylgłą do téj garści ziemi, która na piersiach naszych spoczywa, by kiedyś przysypała mogiłę — a za nami jak w pieśni Child Harold'a — Nikt nie woła!

Po jękach następuje uspokojenie, nawyknienie, jakaś obojętność, a naostatek rodzi się nawet niechęć dla tych, co się natrętnie o pamięć i serca upominają. Kraj mówi im słowy Proudhona: Umrzeć nie umiecie!

A! ileż razy wśród nocy bezsennych, wśród tęsknot niewysłowionych wygnaniec sam wyrzuca sobie, że umrzeć nie może. Smutno przyznać się do tego, ale mało które serce ludzkie, wystawione na próbę oddalenia, wytrzyma ją zwycięsko. Miłość niepodsycana... umiera.

Samo wychodztwo więc jest nieszczęściem, cóż gdy się doń łączy przekleństwo wszystkich, osamotnienie, odrzucenie. W średnich wiekach wyklęty przez kościół, nie miał prawa do gościny, do świątyń, do słowa, do chleba i wody, dziś wychodztwo jak on jest wyklętem. Tak określił stan wychodztwa naszego jeden z genialnych pisarzy naszych, a potwierdzenie świeże słów tych, mamy w położeniu rozpaczliwem szkoły polskiéj na Batignolles. Szkoła ta założona około 1840 roku przy protekcyi rządów Francyi i ofiarności prowincyi pod zaborem moskiewskim. będących, rozwijała się pomyślnie. Istotnym założycielem szkoły według ogłoszonego sprawozdania, był Jan Ledóchowski, który z własnéj kieszeni, na pierwsze lata jéj istnienia, przeszło 100,000 franków wydał, a niemal drugie tyle poświęcił ażeby dla niéj sybwencyą rządową otrzymał i takową zabezpieczył.

Szczęśliwe przebycie katastrofy 1848 roku kiedy się wszystko rozbiegło, gdy ostatnie fundusze szkoły zachwycono, zawdzięcza ona wytrwałości, żelaznéj woli i nie ograniczonemu poświęceniu ówczesnego dyrektora Hipolita Klimaszewskiego, byłego profesora gimnazyum wileńskiego. Gdy Dr. Gałężowski po rewolucyi 1848 r. przybył do Paryża, szkoła liczyła przeszło dwóchset uczniów. Właściwie jednak wzrost, uporządkowanie i znaczenie téj instytucyi datuje się od przyjazdu Dr. Gałężowskiego. On to niezmordowaną pracą i zabiegami potrafił pomimo krytycznych lat kilku, nietylko szkołę utrzymać, ale nawet podnieść ją do znaczenia pierwszorzędnego zakładu w Paryżu. Nabyty w czasie rozruchów za niską cenę grunt, pozwolił budowę rozszerzyć i urządzić wedle wymagań pedagogiki. Urzędowe oszacowanie własności ruchoméj i nieruchoméj szkoły jest następujące:

a)	5213 metrów gruntu, z których 2,024 pod zabudowaniem, oszacowano po 250 fr. za metr ziemi bez budynku, a po 300 fr. za metr pod zabudowaniem:	1,910,950 fr.
b)	300 łóżek z kompletną pościelą i posłaniem	30,000 „
c)	Sprzęty ruchome w klasach, salach służbowych, kaplicy	20,000 „
d)	Biblioteka licząca przeszło 20,000 tomów i blisko 5000 rycin, map jeograficznych, gabinet fizyczny i mineralogiczny, laboratoryum chemiczne etc.	50,000 „
		2,010,950 fr.

Milionowy ten fundusz stworzyła mrówczana zabiegliwość przewodników szkoły i ofiarność polskich rodzin z Królestwa i Litwy. Grosz do grosza stwarzał co raz więcéj zasobów i wzmagał z dniem każdym liczbę uczniów. W ostatnich latach ilość tych dochodziła poważnéj liczby trzystu; wszyscy w szkole nietylko naukę ale ubranie, mieszkanie i pożywienie otrzymywali.

Rycina nasza przedstawia jedno tylko skrzydło wewnętrzne szkoły; skrzydeł takich jest kilka, z czego można sobie wystawić jak gmach jest olbrzymim. Prócz mieszkań czyli sypialni dla uczniów i administracyi, zawiera on obszerną kaplicę, łazienki, wspaniałe pomieszczenie na bibliotekę, infirmeryę, kancelarye, refektarz, kuchnie, garderobę, warsztaty rzemieślnicze i t. d. Do tego dodać należy trzy obszerne dziedzińce, na których stosownie do wieku rozdzieleni uczniowie, w czasie godzin wolnych przechadzają się i zabawy używają.

Ubiór uczniów świąteczny składa się z munduru czarnego na jeden rząd spiętego, z kołnierzem amarantowym i takiemiż u rękawów wypustkami; guziki białe z orłem i pogonią. Czapki, konferantki są równie koloru amarantowego z czarnym lampasem. Do nauki i zabawy używane są powszechnie przyjęte w szkołach francuskich bluzy niebieskie.

Wydatki na skromne i oszczędne utrzymanie zakładu wynosiły w ostatnich czasach 223,069 fr. które częścią z subsydiów rządu francuzkiego, częścią z ofiar, częścią zaś z opłat uczniów zaspakajane były.

Już to nikt zaprzeczyć nie może, że ze wszystkich rządów francuskich, rząd Napoleona najtroskliwiéj losem wychodzców i ich instytucyami się zajmował. Szkoła n. p. Batignolska otrzymywała przez czas pewien około 100,000 franków rocznie, a prócz tego tak rząd jak i brat cesarski książę Napoleon, honorowy prezes szkoły, nie jednokrotnie oznaki życzliwości okazywali. Pominąć tu nie można faktu przynoszącego zaszczyt szkole i pobudzającego do wdzięczności ówczesnemu rządowi, iż ten uznając zasługi jakie szkoła około nauki położyła, nadał jéj tytuł instytucyi pożytku publicznego, tytuł w całéj Francyi nadany jedynie szkole na Batignolles. Bo też przy konkursowych pracach, przy których wybrańcy ze wszystkich szkół fran-

cuskich o nagrody się ubiegali, imiona uczniów szkoły Batignolles rok rocznie najczęściéj wymieniane były, tak że na publicznéj uroczystości, kiedy amarantowe mundurki w ordynku na salę wchodziły, entuzyastycznemi witano ich oklaskami. Rząd w obec sponiewierania imienia polskiego miał odwagę pracę polską ocenić, więc cześć mu za to.

Z końcem roku 1868 z powodu zmniejszenia budżetu przeznaczonego na wychodztwo we Francyi, zapowiedziano cofnięcie posiłku dodatkowego 60,000 fr., wskutek czego prezes szkoły Dr. Gałęzowski udał się sam osobiście, powołać kraj do ofiar na tak użyteczną instytucyę.

Podróż jego mozolna, ale dosyć szczęśliwym uwieńczona skutkiem, przyniosła szkole przeszło 50,000 fr. i obietnice dalszéj zapomogi. Sumę tę w części znacznéj dostarczyła Galicya, która wiele dla szkoły okazała współczucia i dobréj woli, za co jéj wdzięczność należy, niemniéj Prusy Zachodnie, w których składki były chętne i obfite, na koniec W. Ks. Poznańskie i rozsiani po różnych europejskich stolicach Polacy.

Ale chwilowa ta zapomoga nie zapewniła przyszłości szkole; nadszedł fatalny rok 1870 i z nim wojna francusko-niemiecka. Wiadome są wszystkim skutki jéj, a mianowicie bajeczna kontrybucya jaką zwyciężeni zwycięscom opłacić muszą. Nic więc dziwnego, że obecny rząd Francyi zapowiedział prazesowi szkoły, iż z początkiem 1872 r. subsydya udzielane szkole, nadal będą wstrzymane. Pomimo dwóch strasznych oblężeń, pomimo głodu i najokropniejszego niedostatku, przewódzcy szkoły nie chcąc brać na się odpowiedzialności zwinięcia od lat kilkudziesięciu istniejącéj szkoły, i ufni w uczucie szlachetne kraju przetrwali w raz z powierzonemi im sierotami okropne chwile próby. Słuchając opowiadań Dra Gałęzowskiego, zdumieć się trzeba, zkąd brano siłę, energię i wiarę w lepszą przyszłość.

Szkoła chociaż znacznie zmniejszona, przetrwała rok męczeństwa i głodu. Bramy Paryża stanęły otworem i wolna komunikacya na zewnątrz została możliwą. — Rada szkoły przywiedziona do ostateczności postanowiła raz jeszcze zapukać do serc szlachetnych rodaków i raz jeszcze błagać ziomków o pomoc dla sierót. W tym celu sędziwy i zasłużony Dr. Gałęzowski stanął przed kilkoma tygodniami między nami by wyjednać pomoc dla instytucyi, któréj opinia zaszczyt imieniowi polskiemu przynosi, która dzieci bohaterów z pod Grochowa i Ostrołęki ratuje od chleba żebraczego i która w końcu sierotom po rozbitkach polskich, przypominając dzieje ojczyste i powołując do obowiązków patryotycznych po ojcach w dziedzictwie otrzymanych, broni od wynarodowienia. — O ile wieści nas dochodzą, nadzieje te niezawiodą i nasze Księstwo jak zawsze tak i tym razem usprawiedliwi opinię, jaka o jego ofiarności tam gdzie o dobro publiczne chodzi, jest ustalona.

Że szkoła Batignolles w dawnych rozmiarach nadal utrzymaną być nie może, o tém wszyscy, nawet rada szkoły i sędziwy jéj prezes są przekonani. Przy dzisiejszem położeniu kraju, niepodobna zastąpić funduszu tak znacznego, który przez rząd francuzki dotąd był udzielany; postanowiono więc ograniczyć ilość uczniów do minimum, i tym sposobem choć cząstkę kilkudziesięcioletniéj pracy od upadku zupełnego uratować. Są w szkole dzieci polskie bez rodziców, krewnych i żadnéj opieki; szkoła dla nich jest wszystkiem, ojcem i matką, opiekunem i nauczycielem, słowem jest jedyną podporą teraźniejszości i przyszłości dziecka. Wyrzucić je na bruk, sponiewierać nazwisko polskie, byłoby grzechem niedoprzebaczenia, byłoby dać dowód żeśmy zatracili wśród rozbicia politycznego, poczucie solidarności narodowéj. Gotowość Księstwa i Galicyi w niesieniu pomocy rozbitkom, nie dopuści téj ostateczności. Tymczasem sieroty pozostałe w szkole, niecierpliwie wyczekują wyroku kraju, mającego rozstrzygnąć ich przyszłość. Oto jeden z przewodników téj instytucyi, tak do nas pisze:

„Nie potrzebuję długo rozwodzić się, aby opisać jaką radością napełnił nas tu wszystkich list pański, tak pełen otuchy co do przyszłości naszéj szkoły. Jeżeli istotnie ziszczą się Pańskie nadzieje, to dzięki patryotycznéj ofiarności obywatelstwa poznańskiego, do przyszłego roku mielibyśmy zapewniony nasz żywot. Trudno przypuścić żeby było inaczéj, bo jeśli nie szkoła, to widok jéj przedstawiciela, na schyłku życia, które było jedném nieprzerwaném pasmem zasług i poświęceń; wyciągającego dłoń dla nieszczęśliwych sierot, zdolny jest wzruszyć każdego, kto się nie wyzuł już tylko z uczuć po prostu ludzkich, nie mówiąc o innych wznioślejszych i t. d.“

W odpowiedzi na list ten, to dziś już donieść możemy, że zacni obywatele Księstwa sprawę tę na barki swoje wzięli i za pomyślny jéj skutek zaręczyli.

Wyrzec się emigracyi i jéj instytucyi, wyrzec się cząstki społeczeństwa własnego, kraj nie może i nie powinien, témbardziéj że ona prawie bez wyjątku zajęta jest pracą, nauką, wykształceniem, świadczy, że w nieszczęściu umie godność narodową utrzymać. Wielka większość godną jest reprezentować Polskę męczeńską, a na młodzieży pokładamy przyszłości nadzieje. Mamy przekonanie, że kraj ją podtrzyma, że po nad egoizm i po nad uprzedzenie postawi wyżéj zabezpieczenie sierot od wynarodowienia, starców od szpitala, upadłych od ostatecznego spodlenia, że w imię jednéj matki, jednéj niedoli i jednéj nadziei poda im ciepłą rękę pomocy.

H.

Szarada.

Czwarta druga! twój zapach roskoszny w nas budzi
Przyjemność, boś ty wstępem do miłéj czynności;
Trzeci czwarty i piąty! tyś zaszczytem ludzi,
Którego wszystkich stworzeń szereg im zazdrości...
Z tych słów łatwo odgadnąć znaczenie szarady,
Lecz gdyby zaszło wszystko, to już nie ma rady,
Bo wtedy niepomogą i chęci najszczersze
I łez trzecie szóste pierwsze.

(Rozwiązanie szarady w Nr. 42: ***Pomysły.***)

Korespondencye Redakcyi.

Pannie Wład. P.: Chętnie zamieścilibyśmy dwa jéj wierszyki: „W pamiętniku przyjaciółki i Czarne oczy“, ale dla wielu powodów uczynić tego nie możemy. — Panu K. w Krakowie: Listu pod adresem wskazanym na poczcie nieznaleźliśmy. Musiał więc zaginąć. Panu L. W. w Wągrowieckim: „Boje polskie czyli Przygody żołnierskie“ K. S. Bodzantowicza, wyjdą w tych dniach z pod prasy. Ustęp z nich w Sobótce zamieszczony, jest tylko małą cząsteczką opisującą jedną przygodę i ta łaskawie nam ofiarowaną została przez nakładzcę J. K. Żupańskiego.

Nakład i Redakcya księgarni M. Leitgebra i Sp. — (M. Leitgeber i St. Tułodziecki w Poznaniu.) — Czcionkami W. Deckera i Sp. (E. Röstel).